



Płyta CD: In-Grid, Lutricia McNeal i Kate Ryan

olivia

Numer 8, sierpień 2003, cena 5,99 zł (w tym 7% VAT)

twój świat – twoje życie

SUKIENKI NA TOPIE

za mniej niż 200 zł

PSYCHOLOGIA

DLACZEGO TAK CZĘSTO CZUJEMY SIĘ BRZYDKIE

Specjalnie
dla **olivia**

WYWIAD
Z IN-GRID

W ODWECIE ZA ZDRADĘ NAPISAŁAM PRZEBÓJ

SIEDEM TAJEMNIC WSPANIAŁEGO ORGAZMU

zdradza Samantha
z „Seksu w wielkim mieście”

Dieta sałatkowa

Schudniesz **3,5 kg** w tydzień

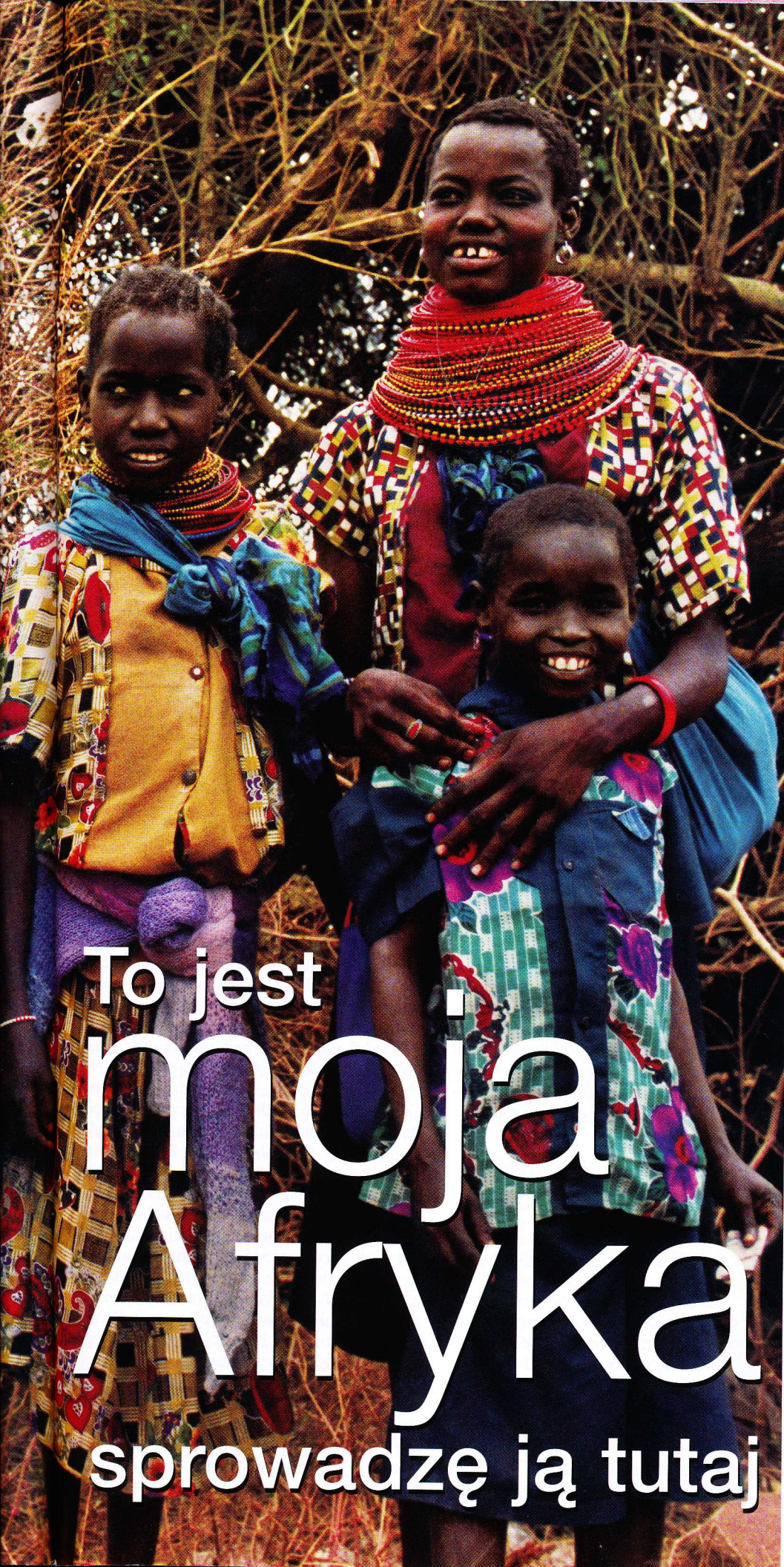


9 771429 695030

08>



– W drodze nad jezioro Turkana spotykałam ludzi z wielu plemion, również tych, które przybyły tutaj z Etiopii – Rendille i Gabbra.



To jest
moja
Afryka
sprowadzę ją tutaj

Dorota była już w Afryce 11 razy i zapewne będzie jeszcze wiele, bo pokochała Kenię, Ugandę, Botswanę, Zimbabwę, RPA... Swoją miłość do Czarnego Lądu, rozległych przestrzeni, zwierząt, tajemniczych afrykańskich plemion chce pokazać innym, dlatego założyła biuro wypraw podróżniczych.

Na zdjęciach Doroty Kozarzewskiej antylopa impala czujnie podniosła głowę, nie widać, że w pobliżu zaczynał się lew. Chłopiec z ginącego plemienia znad jeziora Turkana uśmiecha się beztrudnie, a kilka dni wcześniej przeżył ciężki atak malarii. Długonodzy Masajowie odważnie patrzą w obiektyw (a przecież wierzą, że fotografia kradnie im duszę). Najszysze zwierzęta świata, gepardy, leniwie wygrzewają się w słońcu. Małe jeziora sfotografowane z lotu ptaka wyglądają jak ślady olbrzyma odcisnięte w piasku. Lew ziewa...

Dorota umieściła swoje zdjęcia w internetowym portalu. „Opowiem ci o Mojej Afryce” – napisała do tych, którzy chcieliby odwiedzić jej świat. „O tym, co widziałam, kogo spotkałam, co przeżyłam. O tym, jak pachnie powietrze. I dlaczego będę tam wracać”.

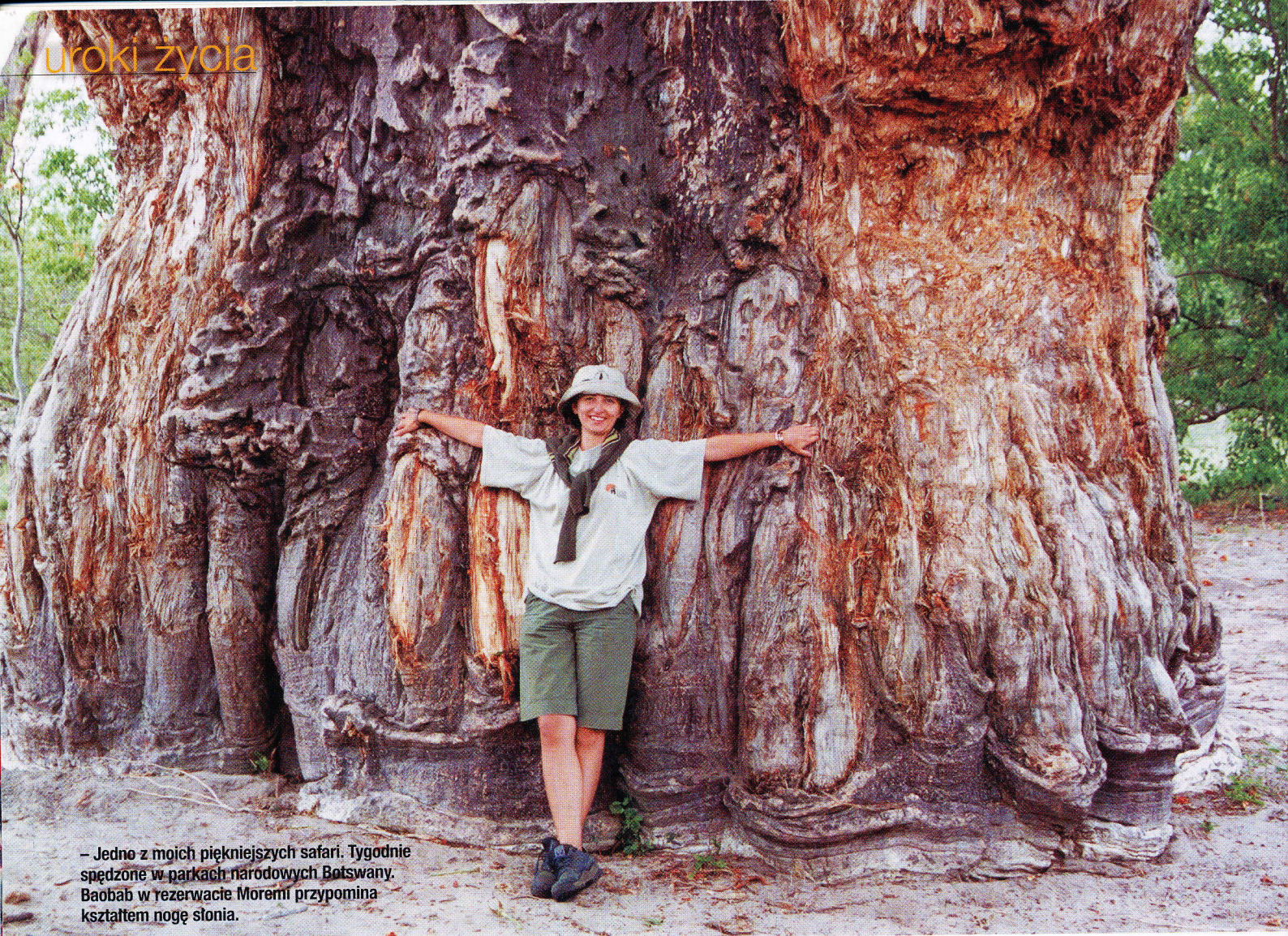
Zawsze będzie tam wracać. Choćby na chwilę – na dwa tygodnie, miesiąc. Nie wyobraża sobie, żeby mogło być inaczej. Z miłości do Czarnego Kontynentu Dorota porzuciła pracę w dużej agencji reklamowej.

– Nie odpowiada mi takie życie – tłumaczy – w którym Moja Afryka „zaczyna się po godzinie 18”, wtedy, kiedy mam wolne. Chciałam tam zostać, ale nie wytrzymałabym tęsknoty. Postanowiłam więc sprowadzić Afrykę do Polski. Jak? Organizuję własne biuro wypraw podróżniczych.

Dlatego Dorota ciągle jest w biegu. Kończy kursy, biega ze spotkania na spotkanie. Pisze artykuły do pisma o podróżach. No i wyjeżdża do RPA. „Odkryła” tam Polkę, która wyszła za mąż za afrykanera i stworzyła rezerwat, w którym hoduje lwy i gepardy. Musi wyjechać, odetchnąć... Jej znajomy lekarz zamiast witamin na recepcji napisał: „Wskazany odpoczynek. Kierunek – Afryka”.

Telefon stacjonarny „licytuje się” z komórkowym. Szumi laptop, bulgocze woda w czajniku. W oknach wiszą afrykańskie tkaniny, zdjęcia oprawione za szkłem, przemalowane biurka – na nich afrykańskie koraliki i koszyk ze słomy – kolonialne krzesła, dwa laptopy, dwie szklanki, łyżeczka, herbata bez cukru... Ale wkrótce to miejsce będzie wyglądało jak eleganckie biuro podróży.

– Afryka! – Dorota uśmiecha się. – I pomyśleć, że kiedy byłam tam po raz pierwszy...



– Jedno z moich piękniejszych safari. Tygodnie spędzone w parkach narodowych Botswany. Baobab w rezerwacie Moremi przypomina kształtem róg słonia.

Cieszyła się na spotkanie z Kenią. Wyobrażała sobie zieloną sawannę, rozłożyste baobaby, galopujące żyrafy, lwy wygrzewające się na skałach. Chciała wiedzieć, czy narzeczony Karen Blixen był podobny do Roberta Redforda z „Pożegnania z Afryką”. I czy, jak mówi legenda, lwy przychodzą na grób Huttona.

Kiedy samolot podchodził do lądowania, wyjrzała przez okno. Zobaczyła betonową płytę lotniska w Nairobi. To nic, pomyślała. Wyjedziemy z lotniska i będzie inaczej. Ale dalej były betonowe osiedla. Afrykańczycy bezczynnie siedzieli na ulicach. Obserwowali przyjezdnych. Poczula wtedy strach. Słyszała o walkach plemiennych. I o wielkiej powodzi.

Przewodnik uprzedzał: „Nie wierzcie telewizji CNN”. Ale ona nie byłaby sobą, gdyby zaraz po przyjeździe do hotelu nie obejrzała wiadomości. Chwilę później, zdenerwowana, zadzwoniła do Ambasady Polskiej w Nairobi: „Czy to prawda, że nad jeziorem Turkana, dokąd się wybieram, wybuchła epidemia cholery?”. „To nie cholera – stwierdził ambasador – ale lepiej niech pani odłoży przyjazd” – zaproponował. „Ja już tu jestem!” – krzyknęła. W odpowiedzi usłyszała: „Jedyna rada: butelkowana woda – do mycia i do picia”.

A potem... Ho, ho...! Długa wyprawa na odkrytych ciężarówkach. Trzy dni przez pu-

stynię, przez busz. Sękaty akacje. Zapach trawy, kwiatów i suchego lajna. Każdy zachód słońca inny. Czula się prawdziwym podróżnikiem, a nie turystą, który dekuje się w wygodnych hotelach w Mombasie. I ten dreszczyk emocji. Wokół lwy, gepardy, dzikie słonie, nosorożce i najgroźniejsze bawoły. Przewodnik Alois z plemienia Samburu uspokajał, że dzikie zwierzęta mają strefę ochronną – podczas spotkania z człowiekiem wycofują się – oraz strefę bezpieczeństwa – kiedy atakują.

„ Co takiego stało się w moim życiu, że dwa razy w roku jestem w Afryce? Bo to jest Moje miejsce ”

Alois był prawdziwym Afrykańczykiem. Nie znośił niepotrzebnego pośpiechu. Pośpiech – to rodzaj ślepoty. A on otwierał im oczy. Nauczył ich słuchać i obserwować tropy. No i... nie bał się lwów. Potrafił przesunąć króla zwierząt tak, by go lepiej wyeksponować na fotografię. „Trafiłście na słonie. Poładźcie przy nich przez godzinę. Obserwujcie. To więcej warte niż gorączkowe szukanie

lwa” – mówił. Więc przyglądali się zwierzętom. Ludziom... Tubylcy to dla białych obcy świat pełen tajemnic. Widziała Masaja, który natarł ciało ochrą zmieszaną z ziołami i szedł z dzidą przez busz, nie bojąc się spotkania z drapieżnikami. Zafascynowana obserwowała ten świat. I odkrywała nowe prawdy.

Kiedyś, gdy opadła z sił, mieszkańcy jednej z wioski posadzili ją pod płachtą w cieniu. Nie zwracali na nią uwagi. Siedzieli przed domami. Gotowali strawę. Jedli. Nagle wzięli się za ręce i zaczęli tańczyć. A ona... po chwili zauważyła, że obok leży para staruszków. Położono ich w cieniu, żeby lżej im było umierać. Wtedy zrozumiała, że tu wszystko jest inne niż w Europie. Wielka koegzystencja. Obok siebie ludzie, zwierzęta, śmierć i życie. Zrozumiała też, że to jest jej miejsce na ziemi. I że będzie tu wracać.

Wróciła do kraju. Ostra praca. Siedzenie w agencji od rana do wieczora, znów kampanie i filmy reklamowe. Ciągłe to samo. Poczula, że się dusi. Że brak jej Afryki, tamtego światła, tamtych przestrzeni, tamtego luzu.

Na następne wakacje pojechała do zielonej Ugandy. Obserwowała górskie goryle. Przyglądała się ludziom, którzy w odróżnieniu od mieszkańców Kenii byli nieufni, wyniszczeni przez walki plemion Hutu i Tutsi. Kiedy udało się jej pozyskać ich przychylność,

czuła się nagrodzona. Nie rozstawała się z aparatem. Ale nigdy nie robiła, jak inni „łowcy chwil”, zdjęć zaraz przy wejściu do wioski. Fotografowała tylko wtedy, kiedy uzyskiwała przyzwolenie. Nie chciała być intruzem.

Nie miała ochoty wracać. Zadzwoiła do firmy. „Jak leci?” – zapytała. „Świetnie” – powiedzieli koledzy. „Dajcie radę?” „Jest

„ *Moja Afryka, nazywam ją tak, bo to są moje zdjęcia, wspomnienia, przeżycia, moje odkrywanie innego świata* ”

OK” – usłyszała. „To znaczy, że mogę poprosić o urlop bezpłatny. Jeszcze trochę tu zostanę”. Tydzień, dwa, miesiąc...

Po trzech latach jeżdżenia tam i z powrotem pomyślała, że może powinna zostać w Afryce na zawsze? Może jako przewodnik wypraw albo jako hodowca lwów?

Zrobiła dwutygodniowy kurs dla rangerów, czyli przewodników po buszu. To było wyzwanie! Ulokowani w jednoosobowych namiotach, rozrzuconych na dużej przestrzeni, musieli przejść szkołę przetrwania. Wszystko mogło przydać się w buszu, np. trening wyczucia czasu. „Nie macie zegarków, ale wszyscy musicie punktualnie stawić się na ognisku!” – nakazywał nauczyciel. Uczył odróżniać sygnały słonia typu: nie ma problemu, od – ostrożnie, zwierzę może zaatakować! Albo rozpoznawania po wyglądzie kory, jakie właściwości ma drzewo napotkane po drodze.

– Uczyliśmy się ptaków, różnych roślin – z dumą opowiada Dorota. – Studiowaliśmy przyrodnicze atlasy. Dla mnie to była dodatkowa trudność. Chociaż dobrze znam angielski, musiałam nauczyć się specjalistycznych nazw angielsko-łacińskich. Ranger powinien czytać busz jak książkę. Jak wszyscy uczestnicy kursu, musiała przejść treningi: samotny spacer po buszu, prowadzenie grupy, śledzenie drogi na krzeselku przymocowanym do maski samochodu. Nigdy nie wiadomo, czy nie pojawi się na niej szarżujący bawół albo nosorożec. Urządziła też dzień Dot (tak ją nazywają w Afryce). Przygotowała kolację – świeże, kwiaty. Namówiła koleżanki, by zamiast spodenek założyły kolorowe spódnice. Mężczyźni upiekli guźca. I nikt nawet nie myślał, że trzeba być czujnym, bo wokół tyle węży, a w toalecie, być może pod papierem, zaczął się jadowity skorpion.

Po kursie wiedziała już, czego chce. Na pewno nie pracy w biurze. Poszła do szefa agencji. „Skończę tę kampanię reklamową” – powiedziała. „I odchodzę!” Myślała o biurze wypraw dla prawdziwych podróżników, którzy chcą przeżyć przygodę, dotrzeć tam, gdzie zwykły turysta nigdy by nie dotarł.

Jest pewna, że poradzi sobie finansowo. Przeszła dobrą szkołę w reklamie. I że będzie robiła coraz lepsze zdjęcia. I że życie może być dobrze zaplanowaną przygodą. Za dwa tygodnie wróci z RPA. A wtedy...

MARIA MAMCZUR

Z mojego afrykańskiego albumu

Jak Karen Blixen

W „Pożegnaniu z Afryką” Karen Blixen napisała, że biały człowiek, chcąc komuś powiedzieć coś miłego, wyznałby: „Nigdy Ciebie nie zapomnę”. Mieszkaniec Afryki mówi inaczej:

„Nie wyobrażam sobie, abys mógł o nas zapomnieć”. Ja naprawdę nie wyobrażam sobie, abym mogła o Nich zapomnieć. Na przykład o tym, że afrykańskie dzieci, które jednego dnia niemal umierały z bólu z powodu malarii, niedowładów nóg i innych nękających je chorób, już następnego potrafiły promiennie uśmiechać się do obiektywu aparatu.



Bez pośpiechu

Kiedy siedem lat temu przyjechałam po raz pierwszy do Kenii, nie rozumiałam Afryki. Patrzyłam na nią jak każdy Europejczyk, który wpada tu na chwilę. Widziałam niezwykłych ludzi, egzotykę, koloryt, pejzaże. Zrobiłam sobie nawet afrykańskie warkoczyki. Ale nie pojmowałam, dlaczego nie należy się śpieszyć. Jak łatwo przegapić chwilę. No i nie zdawałam sobie sprawy z tego, że właśnie jestem tu, gdzie zawsze powinnam być.

Nad oceanem

Przylądek Dobrej Nadziei, jest bardzo gorąco. Nawet bryza od oceanu nie niesie ukojenia. Podziwiam błękit wody, nieba, niecodzienne barwy skał, perłowy kolor światła. Myślę o tym, co za mną. O pracy w biurze od rana do nocy. O gonitwie. Myślę o przyszłości. Wiem już, czego chcę najbardziej...

